

ALOJZY LESZEK GZELLA

ur. 1932; Pelplin



Miejsce i czas wydarzeń	Lubawa, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Lubawa, Pelplin, Warszawa, Pomorze, II wojna światowa, wejście Niemców, ojciec, wojenna tułaczka

Losy rodziny podczas II wojny światowej

Uciekinierzy spod granicy pruskiej, która [znajdowała się o] 7 kilometrów od Lubawy, w Lubawie pojawili się już na tydzień [przed wybuchem wojny], przekazując takie wiadomości, że straży polskiej na granicy żadnej nie ma, że Niemcy atakują nocami i przed tym niepewnym losem owi gospodarze uciekali. Niemcy wkroczyli do Lubawy o godzinie piątej rano. Nawet jakoś tak przypadkowo widziałem te oddziały, które wkraczały do miasta. Wydawało mi się w pierwszej chwili, że to są oddziały polskie i mają takie mokre mundury, że one zupełnie przybrały inny kolor. No ale to taka imaginacja była dziecięca. Myśmy musieli opuścić nasze mieszkanie tuż przed pierwszym września, bo groziły naloty. Tam na pograniczu wiedziało się, że wojna jest nieunikniona, bez względu na to, co w prasie pisano. Przenieśliśmy się do takiego małego domku, gdzie jakąś izdebkę mieliśmy i tam mieliśmy przeczekać okres ewentualnych nalotów. Uważało się, że Niemcy będą bombardować tylko duże budynki, to był akurat duży budynek, wielopiętrowy, tak że była taka konieczność ochrony. Ojca już nie było, bo wyjechał do wojska. Nie wiem, którego to było, to były wakacje i nie przypominam sobie żadnego pożegnania z ojcem. Po prostu już decyzją matki przenieśliśmy się do innego mieszkania i już do tego domu, w którym mieszkaliśmy wcześniej, nie powróciliśmy chyba, bo Niemcy wkroczyli 3 września, już były pierwsze rozstrzelania w pobliżu rynku. Wynikało to stąd, że aresztowali rozmaitych działaczy, których listy mieli w swojej dyspozycji. Chodziło tu głównie o Narodową Demokrację, bo tam tylko właściwie taka partia była – endecja. Na tej liście mój ojciec też był. Sekretarz tejże partii, tego oddziału w Lubawie, pan Ast, chciał tę listę zniszczyć, uciekł na dach i wrzucał te darte kartki do komina. Oczywiście zestrzelili go. To też sobie przypomina dobrze, bo to było jakieś duże dla nas wydarzenie.

Po jakimś czasie ojciec wrócił z wojny, walczył nad Bzurą, później został zgarnięty do niewoli niemieckiej i w Częstochowie w jakimś takim przejściowym obozie [się znalazł]. Tam miał wypisywać zaświadczenia uwolnienia z tego obozu jenieckiego

szeregowcom, czyli nie oficerom i nie podoficerom. Wypisywał i któregoś razu wypisał także na swoje nazwisko zaświadczenie o możliwości opuszczenia tego obozu i wyszedł, oczywiście nie ujawniając swoich stopni oficerskich. Jakimś cudem dotarł do Lubawy i niebawem został aresztowany, bo ta lista endeków była cały czas w dyspozycji, w jakiś sposób sprawdzana i uzupełniana. Ojciec siedział w więzieniu prawie do Bożego Narodzenia, ale został zwolniony chyba na weekend do domu i wtedy uciekł. Nie wrócił do tego więzienia i my następnego pewnie dnia otrzymaliśmy nakaz opuszczenia w ciągu 24 godzin Lubawy, z możliwością zabrania z sobą 20 kilogramów rzeczy. No i oczywiście przez jakieś znajomości, układy wsiedliśmy w bryczkę z majątku sióstr wincentek i tą bryczką przejechaliśmy do Pelplina. Po jakimś czasie matka otrzymała zawiadomienie od ojca, że jest w Warszawie. My zaczęliśmy chodzić do szkoły już w Lubawie, do szkoły niemieckiej. Pierwsza to klasa była moja i ja zaczynałem w szkole niemieckiej uczyć się. Kiedy przyjechaliśmy do Pelplina, również musieliśmy iść do szkoły, bo taki był przecież obowiązek, że dzieci muszą uczęszczać do szkoły. Mieszkaliśmy u naszej babci, u matki mamusi i tam przebywaliśmy przez jakiś czas. Ponieważ to był dom, gdzie na dole wujek miał swój warsztat, został ten warsztat zamknięty i jakiś *Treuhänder*, który był jego zarządcą, zainteresował się, kto to jest ta kobieta z dziećmi. Mamusia otrzymała jakiś sygnał, że prawdopodobnie będzie musiała stawić się w magistracie celem wyjaśnienia, bo ona tu nielegalnie przebywa, nie ma załatwionych żadnych dokumentów i zezwolenia na pobyt. Ponieważ tam w tej rodzinie już mieliśmy doświadczenia, że wezwanie do magistratu kończyło się aresztowaniem – i rozstrzelaniem, o czym wtedy nie wiedzieliśmy, wujek został rozstrzelany – więc mamusia nie czekała na toczący się jakiś tam proces tych całych wydarzeń, tylko zdecydowała się z trójką dzieci wyjechać w kierunku Osia. Byliśmy w Osiu u naszego dziadka-stryjka, który też był przerażony całą tą sytuacją wojenną, już go wyrzucili z jednego domu Niemcy, mimo że był oficerem wysokiej rangi w wojsku pruskim. Był w I wojnie światowej pod Verdun, walczył tam i tam został trochę zgazowany, ranny i tak dalej. Oczywiście go wyrzucili z tego jego domu i my też nie zdecydowaliśmy się na dłuższy tam pobyt. Wyjechaliśmy do Golubia. Golub-Dobrzyń był taką miejscowością, w pobliżu której, myślę, że przez Wisłę, przechodziła granica III Rzeszy i Generalnej Guberni. Już wtedy była Generalna Gubernia, ta granica już była wyznaczona, bo było to w grudniu. W tym Golubiu u naszej ciotki ze strony matki, która miała tam hotel, zresztą miała sieć hoteli na Pomorzu, jakiś czas przebywaliśmy, tam spędziliśmy Boże Narodzenie. W tym hotelu byli też Niemcy, chyba cały parter był zajęty przez Wehrmacht, natomiast kilka pokoi było zajętych przez różne osoby. Była [tam], pamiętam, chociaż nigdy później nie starałem się sprawdzać nazwiska [tej] kobiety, żona byłego polskiego ambasadora gdzieś w Indiach. Z nią była awantura, kiedy w czasie wigilijnego wieczoru Niemcy, [którzy] też znajdowali się przy stole, popili sobie trochę i zaczęli tak frywolnie się zachowywać, wzajemnie sobie palec do gorącej herbaty wkładali i jeden z tych żołnierzy powiedział: „A ty spróbuj tej damie palec do

herbaty włożyć, to zobaczysz, co to będzie”. No i tak w takiej utarczce słownej, w takim pełnym humoru sytuacyjnego zachowaniu jeden z nich włożył palec w herbatę tej naszej pensjonariuszki hotelu i ona, niewiele się zastanawiając, tę całą herbatę wylała mu na twarz. I oczywiście skończyła się Wigilia, skończyły się przyjazne, udawane rozmowy. Mówiono tam przecież parę chwil wcześniej o pokoju, o gwiazdce. I następnego dnia sąd zrobili jakiś, ale oficer tego małego oddziału Wehrmachtu tam stacjonującego – nie wiadomo dlaczego, ja nie umiem powiedzieć, dlaczego oni tam mieszkali – który był świadkiem całego zajścia i mimo że ona, tak ją oskarżano, obraziła mundur żołnierza niemieckiego, podoficera niemieckiego, łagodnie traktował tę rzecz. Ten sąd był taki doraźny, z tych wojaków. Ona była bardzo i arogancka, i bardzo taka, powiedziałbym, honorowa i powiedziała, że nie splamiła honoru munduru, tylko załała twarz świni. I to rzeczywiście tak przecież było. Ja nie byłem świadkiem tej rozprawy, tylko tak w rodzinie się przekazywało, [ale byłem świadkiem tego zajścia], siedziałem przy niej, stół był dosyć długi, po przeciwnej stronie siedzieli żołnierze niemieccy, choinka była po prawej stronie. My, dzieci, byliśmy poprzegradzane dorosłymi osobami.

Matka miała plan, że trzeba uciekać do Generalnego Gubernatorstwa, żeby połączyć się z ojcem, który był w Warszawie. I po jakimś czasie, pewnie to był już 1940 rok, bo olbrzymie mrozy [były], Wisła zamarzła i my przez zieloną granicę przedostaliśmy się gdzieś do Kutna. Jechaliśmy wpierw wozem, ciemno było, więc na pewno już po godzinie tam jakiejś wieczornej, już się zbliżała pewnie północ, byliśmy w takie bety chroniące przed zimnem otuleni, a później też pamiętam to przejście po lodzie, które trwało i trwało, przy takim nawet oświetleniu jasnym, ja nie wiem, czy to księżyc, czy nie, w każdym razie było nas widać, bo my widzieliśmy ten cały sznur ludzi, którzy przechodzili przez granicę. Być może, że ci przewodnicy, którzy nas tam przeprowadzali, znali warunki lokalne i w jakimś stopniu gwarantowali bezpieczne przejście przez ten lód. Już nie pamiętam, jak dojechaliśmy do Warszawy.

I od 1940 roku zaczął się nasz pobyt w Warszawie, który trwał do 1944 roku, czyli do zakończenia powstania warszawskiego. Wyszliśmy z Warszawy ósmego października, czyli w parę dni po podpisaniu kapitulacji. Ponieważ mieszkaliśmy niedaleko ulicy 6 Sierpnia, teraz już, zdaje mi się, jej nie ma, a więc wychodzącej na politechnikę i na Pole Mokotowskie, a my byliśmy zaangażowani jako chłopcy w pracę listonoszy Szarych Szeregów, to już po tym 2 października, kiedy została podpisana kapitulacja, parokrotnie wybiegaliśmy, bo wiedzieliśmy, gdzie jest wyjście dla ludności cywilnej z tej części powstańczej, czyli z tej znajdującej się do 2 października jeszcze w rękach powstańczych. To było Śródmieście i tam wybiegaliśmy, żeby zobaczyć, jak ludzie wychodzą, jak oddziały Armii Krajowej wychodzą. To widziałem. Jest takie zdjęcie na przykład, gdzie Bór-Komorowski stoi i przyjmuje jak gdyby salut, pozdrowienie od szeregow, od oddziałów akowskich, które wychodziły. My ósmego wychodziliśmy z Warszawy, całą rodziną, szczęśliwie przeżyliśmy to, co się tam działo i zostaliśmy umieszczeni w obozie w Ursusie, nie w

Pruszkowie tylko w Ursusie.

Data i miejsce nagrania	2006-02-21, Lublin
Rozmawial/a	Tomasz Czajkowski
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"